

Marian Kowalczyk. Chcieć, nie udawać, że się chce

Piotr Dzieciolowski



Tę mosiężną figurkę ułana osadzoną na marmurowym cokole pokazuje wszystkim ze szczególną satysfakcją. Nie, nic z racji jej walorów wizualnych, choć te są ewidentne i nawet nie dlatego, że zdobył ją na zawodach potęgi skoku we Wrocławiu w 1957 r. wygrywając zacięty bój z Władysławem Byszewskim i Jerzym Grabowskim. Nagród, którymi Marian Kowalczyk może się pochwalić ma przecież dziesiątki, w tym znacznie cenniejsze, wywalczone poza granicami Polski. Żadna jednak nie jest tak wyjątkowa - stała w jego pokoju obok innych dwanaście lat, a on nawet nie podejrzewał, jaką kryje tajemnicę. Wyszła na jaw przypadkiem, choć... może to wcale nie przypadek, może tak właśnie miało być. Oto pewnego dnia od cokołu figurki odpadła złotawa tabliczka z wygrawerowaną dedykacją. Kiedy ją podnosił, odruchowo zerknął na rewers: „Międzynarodowe zawody konne; II nagroda honorowa Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego; Warszawa, czerwiec 1929 r. Czytał ten napis wielokrotnie, nic mógł uwierzyć. Wreszcie i dla niego stało się jasnym, iż ktoś już tę samą nagrodę niegdyś otrzymał. Nietrudno było ustalić, że ten „ktoś” to sam ppłk Karol Rómmel.

Słynny kawalerzysta ofiarował statuetkę Polskiemu Związkowi Jeździeckiemu. W powojennej Polsce któryś z działaczy uznał jednak, że laur imienia Marszałka nie jest godzien zdobić... socjalistycznych wnętrz. Tabliczkę więc zdemontowano, a na jej odwrocie wygrawerowano nową treść i co okazało się z czasem, przytwierdzono ją do cokołu byle jak.

Niezwykłe w tym wszystkim jest także to, że Kowalczyk został właścicielem figurki należącej wcześniej do... jego nauczyciela®. To właśnie pod kierunkiem pułkownika zdobywał w Sierakowie uprawnienia instruktora jazdy konnej. „Patrz, jak on trzyma wodze, jak siedzi w siodle, jak konia prowadzi” - zwracał Rómmel uwagę innym jeźdźcom, wskazując swojego „prymusa”. Nieprzeciętne zdolności Mariana Kowalczyka zauważali także inni wybitni trenerzy, choćby mjr Jan Mossakowski. To właśnie on kazał swojemu zawodnikowi objeżdżać najtrudniejsze konie w ośrodku „Wola” w Poznaniu (z „Wolą”

Kowalczyk związał się na kilkadziesiąt lat).

Kowalczyk nigdy nie narzekał na te „zlecenia”, bo od zawsze lubił wierzchowce z charakterem. Szczególnie „ciepło” wspomina ogiera Zbójnika ze stadniny w Janowie Podlaskim, którego aż trzech ludzi musiało siodłać, by jeden mógł go dosiąść. Bezpośredni kontakt ze Zbójnikiem miał dopiero w 1944 r. na terenie Niemiec, dokąd okupant przeniósł całą stadninę - konie i część pracowników.

Któregoś dnia - wspomina Kowalczyk - zawołał mnie szwabski wachmistrz i rozkazał: Idź, weź mi Zbójnik! - On mnie zabije! - odpowiedziałem. A to nie szkodzi - odrzekł Niemiec. Nie miałem więc wyboru, wyprowadziłem konia na korytarz, zacząłem ostrożnie siodłać i delikatnie podpiąłem popręg. W tym momencie wachmistrz pojawił się obok mnie i nim cokolwiek zdążyłem powiedzieć, wykoncypował: co cholera, nie chce iść? I uderzył go z całej siły batem, aż zwierzę się położyło. Krzyknąłem, żeby go nic bił; na szczęście posłuchał i zostawił nas samych. Zbójnik podniósł się, podciągnąłem wtedy popręg o jeszcze jedną dziurkę i wyczekałem aż sam ruszy, potem o kolejną i po chwili byliśmy już poza stajnią. Koledzy wrzucili mnie na siodło... i krok po kroku... dzień po dniu zaczęliśmy się dogadywać. Jak widać, można... - byle spokojnie i nic używając siły! Moja rada: chcieć - nie udawać, że się chce - rozszyfrować zwierzę, docierać do jego psychiki i dobrze mu życzyć.

Ono odwzajemnia zaufanie i akceptuje przychylnego mu człowieka. Oczywiście, nim osiągnie się consensus trochę to na ogół trwa, czasem nawet dość długo, ale by... konie były syte i człowiek cały - nie wolno rezygnować. Coś o tym wiem, w końcu jestem z nimi od dawien dawna, od najmłodszych lat.

Jako mały chłopak w każdą niedzielę za zgodą fernali z janowskiego majątku odprowadzał z kolegami konie na nadbużańskie pastwiska. Dosiadali ich na oklep i galopowali po kilka kilometrów w obie strony.

W drodze powrotnej ostatni z nas miał najtrudniej, bo nie było już komu pomóc mu wsiąść. Musiał więc wyczekać moment, aż zwierzę zacznie skubać trawę, wdrapać się wtedy na jego szyję, po czym, gdy koń unosił głowę, zjechać na grzbiet.

W prawdziwym siodle Kowalczyk miał okazję przejechać się po raz pierwszy dopiero w wieku trzynastu lat za sprawą swojego ojca, Aleksandra - ułana 25 Pułku, przed II wojną światową pracownika janowskiego Stada Ogierów.

Wydawało mi się, że siedzę na gigantycznej wieży, ale bardzo mi się to podobało - wspomina.

O systematycznej nauce jazdy konnej nie było jeszcze mowy, tę rozpoczął w czasie wojny, gdy podjął pracę w Stadzie w charakterze masztalera - dzięki temu uniknął zsyłki na roboty do Niemiec. Za Nysą Łużycką znalazł się dopiero w 1944 r. po ewakuacji janowskiej stadniny. Konie i ludzi przetransportowano koleją w okolice Drezna - do miasta przywędrowały w pamiętnym lutym 1945 r. W pamiętnym, bo znalazły się tam akurat podczas największego w historii II wojny światowej nalotu alianckiego. Zwierzęta rozpierzchły się po Dreźnie, o dziwo żadne nie ucierpiało, wszystkie udało się odnaleźć. Bez szwanku przeżył też bombardowanie dziewiętnastoletni Marian Kowalczyk. Już tydzień później z innymi pracownikami Stadniny m.in. legendarnym Andrzejem Krzyształowiczem, jej wieloletnim powojennym dyrektorem, wyruszyli z kilkudziesięcioma janowskimi ogierami w kierunku Tor-gau, skąd znowu koleją przenieśli się do Lubeki. Tam długimi miesiącami sprawowali nad końmi opiekę i organizowali dla nich transport do Polski drogą morską. Sam Kowalczyk wrócił do rodzinnego Janowa w 1946 r. Nie zagrzał tam jednak długo miejsca. Wraz z bratem i ojcem przeniósł się do Stada Ogierów w Łobzie, w którym rozpoczął swoją sportową karierę.

Aleksander Chajęcki uczył mnie skakać, a Wojciech Zbanyszek trenował ze mną ujeżdżenie.

Na wyniki nic trzeba było długo czekać; w 1956 r. zdobył wicemistrzostwo Polski w skokach przez

przeszkody. W następnym - już pod palcetem majora Mossakowskiego - mistrzostwo. Z kolei na zawodach w Bukareszcie, na dwadzieścia dwa punktowane miejsca polskiej ekipy sam zdobył dwanaście.

Czołowe lokaty zajmował regularnie, ale pytany o ten najważniejszy laur, odpowiada bez wahania: NICEA 1958! Odbływały się tam międzynarodowe zawody z udziałem: Chilijczyków, Belgów, Włochów, Turków, Francuzów, Hiszpanów i Szwajcarów. Kowalczyk startował na kilku koniach, na Bagalpurze pokonał mistrza świata, olimpijczyka Raimondo d'Inzeo, odniósł zwycięstwo w jednym z najbardziej prestiżowych konkursów o nagrodę księżnej Aosty, powtarzając tym samym przedwojenny sukces Adama Królikiewicza z 1925 r.

Wygrałem też z samym sobą. Jechałem kontuzjowany, miałem naderwany mięsień nad kolanem i to od wewnętrznej strony nogi, a więc przylegającej do siodła. Ból straszny, najtrudniej było pokonywać rowy, ale wy trwałem.

Wygrana w Nicei była pierwszym po wojnie wielkim sukcesem polskiego jeźdźcy w Zachodniej Europie. Znamcy, czy jak dziś byśmy powiedzieli, eksperci, dawali mu ogromne szanse na olimpijski laur w Rzymie (1960). Niestety złamana ręka dosłownie na chwilę przed igrzyskami wykluczyła go z drużyny. Dwadzieścia lat później odbił sobie tę stratę - ekipa, którą przygotował na moskiewską Olimpiadę wywalczyła: srebro, a Jan Kowalczyk złoto. (Zbieżność nazwisk trenera i zawodnika przypadkowa). „Srebrni”: Janusz Bobik, Wiesław Hartman, Marian Kozicki oraz Jan Kowalczyk wielokrotnie podkreślali, że nikt nie potrafił tak dobierać koni jeźdźcom, jak Marian Kowalczyk. Dosiadał po kolei wszystkich i, mając nieprawdopodobnego nosa, w jednej chwili orientował się, który zawodnik, z którym wierzchowcem będą stanowili optymalny team. I stanowili!

Ale nie każdy z moich podopiecznych ma o mnie dobre zdanie - mówi z przekąsem wybitny trener. - Krzysiek Ferenstein do dziś nic może mi zapomnieć, że go wykluczyłem z kadry olimpijskiej. Obaj dobrze wiemy za co, ale on rozpowiada bajki, że stał się kozłem ofiarnym. Spuśćmy na to zasłonę milczenia. Nic, ani nikt czasu nie cofnie...

Umiejętności trenerskie Kowalczyka doceniano poza krajem, stąd jego angaż do znanej niemieckiej szkoły jeździeckiej Onkel Toms Hutte w Berlinie. W latach 1972-1976 i 1980- 984 był jednym z pięciu szkoleniowców reprezentantów RFN. Z niemieckimi kolegami - trenerami poza codzienną pracą urządzał rozmaite pokazy jeździeckie, także rozrywkowe. Wymyślił np. mecze wierzchem w piłkę nożną; piłka miała średnicę stu dziesięciu centymetrów, a drużyny składały się z czterech zawodników. Wcielił się też Kowalczyk w kowboja, który konno wjeżdżał do Saloonu - prawie jak Wieniawa Długoszowski do Adrii - i po ciemku strzelał do talerzy. Goście podziwiali jego celność, nie mieli pojęcia, że strzelał ślepyimi nabojami, a niewidoczny asystent walił w talerze młotkiem.

Taka odskocznia bardzo mi odpowiadała, człowiek odrywał się od codzienności, kłopotów i obowiązków. Jasne, że rolę kowboja traktowałem z przymrużeniem oka. Zawsze przecież najważniejszy był dla mnie sport i to ten przez duże „S”, na najwyższym poziomie. Pewnie, nie zawsze wszystko szło tak, jakbym chciał. Kilka przygotowanych przeze mnie koni zwyczajnie mi zabrano i przekazano innym zawodnikom, choćby Farysa, którego własnoręcznie wyleczyłem z poważnej kontuzji, tygodniami spacerując z nim po wodzie. Wkrótce potem wygraliśmy międzynarodowe zawody na Woli w skokach, a w konkursie potęgi zajęliśmy drugie miejsce. Przed Igrzyskami w Meksyku przyszło nam się rozstać...

W tym czasie Marian Kowalczyk odkrył znakomitego ogiera imieniem Sekt. Trenował z nim nie tylko skoki, ale także ujeżdżenie, w którym dosłownie zakochał się podczas jednych z zawodów w Akwizgranie. Z Sektem pięciokrotnie i to z rzędu, zdobywał w tej dyscyplinie mistrzostwo Polski. Marzył, by w Aachen (1968) wystartować w obu konkurencjach.

Eryk Brabec z PZJ powiedział mi, że to nie wypada, że nikt nie walczy w tych samych zawodach w ujeżdżeniu i skokach, oczywiście poza wukakawistami, ale to przecież zupełnie coś innego. Odrzekłem: bo tam jeżdżą same pierdoły! Brabec zaproponował mi wtedy, że jeśli zrezygnuję z Aachen, wyśle mnie z Sektem na roczne szkolenie do Szwajcarii. Zgodziłem się, a z wyjazdu... nic nic wyszło, bo ponoć zabrakło dewiz.

Nigdy się nie dowiemy, jakie korzyści odniósłby z tego szkolenia Marian Kowalczyk, jak zostałby oceniony przez szwajcarskich trenerów. Możemy tylko przypuszczać, że wystawiono by mu tam nie gorszą cenzurkę niż tę, którą wcześniej, po miesięcznym kursie skreślił płk Andrei Georghes z Rumuńskiej Federacji Jeździeckiej: „jeździec z wielką miłością i namiętnością do sportu konnego. Ma wiele wyczucia jazdy konnej, dar obserwacji i reaguje umiarkowanie w chwili odpowiedniej. Jego temperament i charakter, jak również jego osobisty geniusz, pomogą mu dojść do mistrzostwa sportowego”. Pomogły!!!

*Rómmel nigdy nie dowiedział się o niezwykłym odkryciu, zmarł dwa lata wcześniej (7.05.1967).

Medale w Mistrzostwach Polski w Ujeżdżeniu

rok	miejsce	nazwa konia
1960	II	Mitrydat
1966	I	Sekt
1967	I	Sekt
1968	I	Sekt
1969	I	Sekt
1970	I	Sekt
1971	II	Sekt

Medale w Mistrzostwach Polski w Skokach Przez Przeszkody

rok	miejsce	nazwa konia
1956	II-III	Donat
1957	I	Pregor
1958	II	Pregor
1960	III	Pregor
1961	III	Mitrydat
1963	III	Demagog II

Pochodzenie koni

nazwa konia	rasa	data ur.	maść.	ojciec	matka/ojciec matki	hodowca
Demagog II	x wlkp.	1950	gn.	Topaz x trk.	Falaise x holszt./ Lotharno	SK Posadowo
Donat	Xo m	1950	gn.	Amur I xo	Aldona xo/Tremo	SK Nieświastów
Mitrydat	xo wlkp.	1951	gn.	Topaz x trk.	Mitra xo/Szałas xo	SK Posadowo
Pregor	x wlkp.	1951	sk. gn.	Polastern x trk.	Peseta x wschpr./NU	SK Liski
Sekt	x wlkp.	1960	siwa	Rumian x	Sekta brdbg./ Senator I brdbg.	SK Posadowo